



ROSTOŁY

KŁĄTWA WILCZEGO BORU

J A C E K
C H L E W I C K I



ROSTOŁY

KLĄTWA WILCZEGO BORU

Redaktor prowadzący: Wojciech Ciuraj
Wydawca: Wojciech Ciuraj
Redakcja: Sylwia Zazulak
Korekta: Małgorzata Denys
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Ilustracja na okładce: © Roman / Stock.Adobe.com,
© Leny Silina Helmig / Stock.Adobe.com
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2026 by Jacek Chlewicki

Copyright © 2026 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp. z o.o.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2026
ISBN 978-83-8417-713-6

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Bliss

*Myslałem o tych wszystkich
drobnostkach, co zaszły między mną
a Dorą, i czułem, że to z drobnostek
składa się cała suma życia.*

– DAWID COPPERFIELD,
KAROL DICKENS,

tłum. Wilhelmina Zyndram-Kościałkowska



ROZDZIAŁ I

– **TRZY MIESIĄCE MIAŁA**, jak na chrzcie świętym proboszcza w palec ugryzła. Krew ochlapała albę i stułę. Ksiądz tak się zagotował, że aż trzy razy ją kropidłem pokropił, ażeby z niej diabła wygonić. Szkoda gadać. Wstyd na całą wioskę. A pan co? Czego pan tak stoi?

Wigilia Bożego Narodzenia to dla mnie dzień jak każdy inny, choć w najgorszych koszmarach nie miałem wizji, że spędzę ten dzień w starej, cuchnącej chacie, próbując uratować życie trzy-nastoletniej dziewczyny.

Dziewczyny, którą mieszkańcy Kruków uznali za wampira.

Stałem w drzwiach kuchni, oparty o futrynę i obserwowałem rodziców nastolatki. Ojciec był cały czas zamyślony i milczący, a matka roztrzęsiona i rozgadana. Co chwila łapała się za włosy, powtarzając w kółko te same historie o tym, jak to małej Wiktorii szybko wyrznęły się jedyńki, którymi kasała wszystkich dookoła. To byli prości ludzie. Nie interesowało mnie, jak się nazywali, dlaczego mieszkali tu, gdzie mieszkali, a nawet chwilowo miałem gdzieś, że w ich chałupie śmierdziało kapustą i cebulą.

Przyjechałem tu na prośbę Marii Wasilewskiej, mojej byłej partnerki z czasów służby w policji. Kilka dni temu zadzwoniła do mnie z wiadomością, że we wsi Kruki niedaleko Hajnówki żyje trzynastoletnia dziewczyna, którą mieszkańcy podejrzewają o bycie wampirem. Maria usłyszała o tej absurdalnej historii od swojej matki, a ta z kolei od lokalnego księdza, który postanowił pomóc dziewczynie i jej rodzicom.

Kruki to mała wioska, przebiega przez nią tylko jedna droga, wzdłuż której stoi kilkanaście domów. To proste chałupy i mógłbym powiedzieć o nich tylko tyle dobrego, że mają dachy i okna. Dom, w którym mieszkała nastolatka wraz ze swoimi rodzicami, był urządzony po spartańsku. Posiłki przygotowywało się na piecu, a ręce myło w wiadrze. Nie było łazienki. Wszędzie cuchnęło moczem i wilgocią. Mimo że w piecu palił się ogień, to w chacie było strasznie zimno. Do tego stopnia, że razem z Marią nie zdjęliśmy nawet płaszczy. W przeróżnych pojemnikach, miskach i garnkach znajdowały się składniki do niedokończonych potraw wigilijnych: ciasto na pierogi, pokrojona cebula, śledzie, pszenica pęczniejąca w wodzie.

Utknąłem w Krukach razem z Wasilewską. Policjantka była drobna i rudowłosa, a poza tym nudna i przewidywalna. Nigdy nie miała swojego zdania, ubierała się jak podstarzała bibliotekarka i prowadziła samotne życie. W wigilijny poranek zadzwoniła ponownie i oznajmiła, że sytuacja w Krukach rozwinęła się w złym kierunku i dziewczyna, o której mówiła, znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Policjantka szukała kogoś, kto by z nią pojechał i przemówił mieszkańcom do rozsądku. Wiedziała, że nie pracuję za darmo.

– Adam, sprawa jest poważna – oznajmiła. – Chcą ją porwać z domu i wrzucić do rzeki. Wcześniej jednak przebiją jej serce kołkiem, a ciało spalą. Ksiądz z sąsiedniej wioski mówił, że tym razem nie skończy się na groźbach.

- Pięknie, a czemu akurat dzisiaj?
- Podobno ma to związek z tym, że dzisiaj jest Wigilia. Pojedź ze mną, to będziesz miał okazję zapytać.
- Mówiłaś wcześniej, że to okolice Hajnówki. Prawosławni nie świętują trzynastego dnia później?
- W tej wiosce większość to katolicy, ale to przecież nie o to chodzi.
- Dobra. Nie chce mi się. Od potworów jest policja.
- To ja jestem policja. Dzwoniłam do chłopaków, ale niestety nie potraktowali tego zgłoszenia poważnie. Jak Baryła usłyszał, że chodzi o wampira, to od razu kazał mi zgłosić się do ciebie.
- Komisarz Baryła był moim przełożonym. Kochał śmieciowe żarcie, filmy akcji z lat osiemdziesiątych i czarne, skórzane kurtki. Nie lubił mnie, a ja jego.
- Wigilia to dzień wolny od pracy – przypominałem, próbując się wymigać.
- Wampir. Zabobony. Wieśniacy opętani fanatyzmem. Przecież lubisz takie historie. A przy okazji możesz pokazać, że jednak obchodzi cię los innych ludzi, a nie tylko tych, którzy ci zapłacą.
- Wzruszyłem się. Naprawdę. Ale tym razem poproszę kogoś innego o pomoc.
- A komu będzie się chciało jechać w taki dzień tyle kilometrów z Białegostoku pod Hajnówkę?
- Westchnąłem. Zazwyczaj w tym momencie rozmowy z klientem udawałem wahanie, licząc, że uda mi się podnieść stawkę. Potem kończyłem rozmowę, siadałem na fotelu i długo zastanawiałem się, co mógłbym kupić za te pieniądze. Tym razem jednak od razu wiedziałem, że żadnych pieniędzy z tego nie będzie.
- Daj mi godzinę. Muszę się ogarnąć.
- Pożałowałem mojej decyzji w chwili, gdy tylko wyszedłem z mieszkania. Pierwszy raz od kilku lat w Białymstoku w Wigilię

padał śnieg. Zaczęło sypać około godziny dziewiątej. Pogoda zaskoczyła nie tylko drogowców, lecz także meteorologów, którzy nie spodziewali się nadejścia zimowej aury.

– A włosy to ma po mojej babce od strony ojca. Ona też miała takie. Białe jak ten śnieg, co pada za oknem – wyjaśniła ponuro matka dziewczyny. – A pan co? Czego pan tak stoi? – dodała, marszcząc brwi.

Wzruszyłem tylko ramionami i wyjrzałem przez okno. Mieszkańcy wioski stali na drodze przed domem, wznosząc okrzyki zachęcające do zabicia wampira. Tymczasem kobieta, której imienia nie znałem, zaczęła opowiadać kolejną historię o swojej córce.

– Smoczka raz jej kupiliśmy, to go pogryzła i zjadła. Babcię Józię ukąsiła, gdy chciała sprawdzić, ile ma ząbków. Potem brata mojego w szyję dziabnęła, gdy ten nosił ją na rękach. Szkoda gadać. Wstyd na całą wioskę.

Wigilię spędzałem więc w towarzystwie Marii Wasilewskiej, nastolatki, która podobno była wampirem, oraz jej rodziców. Jedyną zaletą tego wszystkiego był fakt, że mogłem wreszcie założyć swój czarny pikowany płaszcz. Wzorowo pasował do mojego czarnego garnituru, białej koszuli i czarnego krawata.

Wiktoria, czyli przyczyna całego zamieszania, przebywała w pokoju obok kuchni, zajęta przewieszaniem ozdób na choince. Być może miała nadzieję, że dzięki jej staraniom drzewko stanie się choć odrobinę ładniejsze, ale ja wiedziałem, że to syzyfowa praca. Ktokolwiek wieszał ozdoby na tej choince, był albo ślepy na jedno oko, albo zupełnie pozbawiony zmysłu estetycznego. Same drzewko też nie ułatwiało zadania, bo było krzywe, niesymetryczne i po prostu brzydkie.

Raptem w oknie pokoju, gdzie była Wiktoria, pojawiły się dwie dziecięce głowy. W kolorowych czapkach z pomponami dziewczynki wyglądały jak skrzaty z reklamy świątecznych czekoladek.

Przez chwilę rozglądały się po pomieszczeniu, a gdy tylko ujrzały Wiktorię, zaczęły głośno recytować:

– Raz, dwa, trzy. Raz, dwa, trzy... wampirem jesteś ty! Cztery, pięć. Cztery, pięć... potwora pozbędziemy się. Sześć, siedem. Sześć, siedem... z Kruków bestii pozbędziemy się. Osiem...

Ojciec dziewczyny nie pozwolił im dokończyć. Zerwał się z taboretu i podbiegł do okna. Dzieci uciekły, śmiejąc się, nie-samowicie zadowolone z tego, co zrobiły. Mężczyzna z troską popatrzył na córkę.

– Nie martw się. Wszystko będzie dobrze – pocieszył ją.

Nastolatka pokiwała głową bez przekonania i kontynuowała przewieszanie ozdób.

– Nic nie będzie dobrze – odezwała się matka dziewczyny. Kobieta siedziała na krześle i obgryzała paznokcie. – Trzeba schować Wiktorię do piwnicy. Tak samo dziadek uratował kiedyś babkę przed Roskami. W piwnicy nikt jej nie znajdzie.

– Oszalałaś – skwitował mężczyzna, kucając przy kaflowym piecu. Otworzył górne drzwiczki i dołożył drewna.

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjąłem z niej opakowanie tabletek z witaminami, po czym wycisnąłem jedną z blistra na dłoń. Widząc, co robię, matka Wiktorii zanurzyła w metalowym wiadrze szklankę, aby nabrać wody, i podsunęła mi ją pod nos.

– Napije się. Dobra jest.

– Dziękuję, ale nie trzeba.

Odchyliłem głowę do tyłu i połknąłem tabletkę śliną. Od kilku dni czułem łamanie w kościach, dlatego przed wyjazdem zabrałem ze sobą cały pakiet lekarstw. W pozostałych kieszeniach schowałem tabletki na ból głowy i gorączkę oraz na ból gardła.

Zerknąłem na klasycznego Zeppelina na swoim nadgarstku – nic wielkiego; tarcza w kolorze kości słoniowej, stalowa koperta

i czarny, skórzany pasek – którego złote wskazówki pokazywały równo piętnastą. To oznaczało, że byłem w Krukach od dwóch godzin. Zakląłem pod nosem i po raz kolejny wyrzałem przez okno. Śnieg bez przerwy sywał i raczej nie zanosił się na to, żeby miał przestać. Wszystko było białe: droga, domy i płoty. Z niepokojem obserwowałem nasz samochód, który z każdym kwadransiem coraz bardziej znikał pod śniegiem.

– Wiktoria! Zrób coś z tym kotem! – Matka dziewczyny zerwała się z krzesła. – Łazi po meblach, pazurami drapie. Zaraz go szcnotką przejadę.

– On też się boi – wyjaśniła Wiktoria. – Lulek, złaź stamtąd.

Mały biały kot skoczył z jednej szafki na drugą. Choć dostał jasne polecenie od swojej pani, to ani myślał się posłuchać.

– Lulek, no! – zawołała nastolatka.

– Uroczy kotek – zachwyciła się Maria.

Wasilewską rozczulało wszystko, co było małe, bezbronne i niewinne. Rozczulał ją suchy liść spadający wolno z drzewa, gołąb pijący wodę z kałuży albo kwiaty kołyszące się na wietrze. Nie inaczej było tym razem.

Wiktoria szybko odpuściła dyscyplinowanie zwierzaka i na powrót zajęła się choinką. Jedna ze szklanych bombek wypadła jej z ręki, przetoczyła się po łodygach drzewka jak piłeczka w pinballu i z cichym chrupnięciem rozbiła się na drewnianej podłodze.

Matka nastolatki wbiegła do pokoju, wrzeszcząc wniebogłosy i dygocząc, jakby ją prąd kopnął.

– Zobacz, co zrobiłaś! Wiesz, ile ona kosztowała? Ach, Wiktoria! Przyciągasz same nieszczęścia.

– Mamo, przepraszam. Posprzątam.

– Ciągłe coś. Jak nie bombka, to talerz, a jak nie talerz, to kubek. Nie nadajesz się do niczego.

– Daj jej spokój – odezwał się ojciec Wiktorii pustym, nieobecnym głosem, jakby dochodzącym z samego dna studni. – Stłuczona bombka to jeszcze nie koniec świata.

Kobieta zacisnęła zęby i wycełowała palcem w okno.

– O, tam masz koniec świata! Nasz koniec. Kazikowa z widłami stoi. Nie tylko ona. Cała wioska. Przez kogo to?

Maria spojrzała na mnie wymownie. Westchnąłem i nie skomentowałem zajścia.

Wiktorcia, zabrawszy z kuchni szufelkę i zmiotkę, zaczęła sprzątać potłuczoną bombkę. Przypominała Kopciuszkę, tyle że traumę fundowała jej matka, a nie wredna macocha i jej córki. Dziewczyna miała białe, krótkie włosy, które co chwila zaczesywała za ucho. Duże zielone oczy upodabniały ją do postaci z japońskiej kreskówki. Urodę zawdzięczała raczej matce, z wyjątkiem białych włosów, smutne i puste spojrzenie odziedziczyła zaś po ojcu. Miała na sobie niebieskie, przetarte dresy i bluzę z kapturem. Wszystko w jej wyglądzie było nie tak. Wszystko z wyjątkiem pewnego drobiazgu, który dodawał jej subtelności: nosiła na szyi czarną aksamitkę zakończoną srebrnym półksiężycem.

Nagle usłyszeliśmy szybkie stukanie do drzwi, a zaraz potem wiązaną przekleństw przeplataną dziecięcym chichotem. Ojciec Wiktorii wyjrzał przez okno, płosząc żartownisiów.

– Nie dadzą nam spokoju – powiedział pod nosem.

– Może wyjdziemy z nimi pogadać? – Maria Wasilewska chodziła nerwowo po kuchni, zostawiając mokre ślady na linoleum. – Masz jakieś pomysły? – zapytała, parząc na mnie uważnie. Nigdy nie potrafiłem stwierdzić, jaki tak naprawdę ma kolor oczu. Za każdym razem, gdy na nią patrzyłem, był on inny. Jej tęczęwki reagowały na każdą, nawet najmniejszą zmianę światła.

Wzruszyłem ramionami. Banda wieśniaków chciała wywlec z domu niewinną dziewczynę i przebić ją kółkiem. To nie był

typowy problem do rozwiązania przez detektywa od spraw niezwykłych. Tu był potrzebny psychiatra wspierany przez oddział prewencji wyposażony w tarcze, pałki i armatki wodne.

– Adam, jak możesz być teraz taki spokojny? – zapytała z goryczą Maria.

Było mi jej szkoda. Tak po prostu zwyczajnie szkoda. Ruda podjęła się zadania, którego nie była w stanie wykonać. Nie nadawała się do tej roboty. Była inteligentna i spostrzegawcza, ale to tyle, jeśli chodzi o jej zalety. Powinna teraz wraz z mamą i siostrą przygotowywać kolację wigilijną dla całej rodziny. Barszcz z uszkami, pierogi i śledzie w przeróżnych wersjach. Na jej świątecznym stole zapewne obowiązkowo stałaby Fanta. Maria pije hektolitry Fanty.

– Może byś w końcu coś powiedział? – upomniała mnie.

– Mówiłem, że nie chcę tu jechać – przypomniałem.

Wasilewska wydała z siebie odgłos przypominający warknięcie. Lulek, który spokojnie grzał się przy piecu, powoli uniósł łeb, a potem, jakby wywołany do odpowiedzi, podniósł się i ruszył przed siebie. Chodził z gracją i elegancją, której mu trochę zazdrościłem.

Kiedyś słyszałem, że w ciele kotów zaklęte są dusze ludzi, którzy za życia zrobili coś złego. Jeżeli to prawda, to taka dusza mieszkała w ciele pięknym i smukłym, ale jednocześnie niezwykle kruchym i podatnym na zranienie. W sumie to żaden interes zostać po śmierci kotem. Robaki, pchły, a poza tym można trafić do domu, w którym cuchnie kapustą i cebulą. To ostatnie spotkanie kota, który omijał właśnie popękane wazony, zakurzone ramki ze zdjęciami i donice ze sztucznymi kwiatami.

Szczerze mówiąc, to nie lubię kotów, i to bez względu na to, czy jest w nich zaklęta jakaś dusza, czy nie. Jako detektyw od spraw niezwykłych miałem mnóstwo spraw, w których koty,

zwłaszcza te czarne, grały główne role. Wydawały z siebie przeraźliwe odgłosy, drapały pazurami po ścianach lub po prostu stały i patrzyły. Te ostatnie były najgorsze.

Raptem do pokoju wpadła śnieżka, zbijając z hałasem szybę w oknie. Twarda, zmarznięta kula trafiła w kota, który z prychnięciem zeskoczył z szafy.

Wszyscy podskoczyli.

Wszyscy oprócz mnie.

Matka Wiktorii podbiegła do swojej córki i mocno ją przytuliła. Następnie zaczęła uważnie oglądać jej twarz, jakby bała się, że śnieżka była granatem, którego odłamki pokaleczyły nastolatkę. Z kolei ojciec przylgnął do ściany, obawiając się, że zaraz nadlecą kolejne śnieżne pociski.

– Niechże pan coś zrobi – powiedział. – Przecież jest pan policjantem.

– Prywatnym detektywem. Policjantem jest moja koleżanka.

Wyrzałem przez okno. Na drodze przed domem zebrali się już chyba wszyscy mieszkańcy Kruków. Wymachiwali widłami i motykami. Wznosili mniej lub bardziej niezrozumiałe okrzyki. Coś o potworze z lasu i pożartych cielakach. Jakaś baba w chuście wdrapała się na maskę naszego samochodu, uklękła i uniosła ręce. Oblepiona z każdej strony śniegiem wyglądała jak bałwan. Obok auta stał niski, gruby mężczyzna w ciężkiej, puchowej kurtce, z rękami w kieszeniach i kapturem na głowie. Uznałem, że to on był przywódcą tego szaleństwa. Tuż obok stał drugi mężczyzna. Był nieco wyższy i tak samo gruby, kręcił się w miejscu i nerwowo rozglądał na boki, jakby nie wiedział do końca, co tu właściwie robi. Między tłumem a domem stał ksiądz. Był naszą jedyną linią obrony. Co chwila wznosił krzyż i wymachiwał nim w stronę ludzi, jakby odpędzał się od demonów.

Co za bajzel.

Wziąłem do ust tabletkę na ból gardła i zacząłem ją ssać. Natychmiast poczułem kojące działanie miodu i cytryny.

– Dobra – oznajmiłem, wyciągając spod płaszcza małą, składaną parasolkę. – Miejmy to za sobą.

Pchnąłem skrzypiące drzwi i stanąłem na schodkach. Momentalnie poczułem na twarzy zimny podmuch powietrza.

– Jeszcze chwila – rzuciłem do Marii, która podążyła za mną.

Z kieszeni marynarki wyjąłem małą fiolkę perfum Diora i spryskałem sobie szyję. Starąłem się nigdy nie wychodzić z domu, jeżeli wcześniej nie otoczyłem się odpowiednio luksusowym i wyjątkowym zapachem – mężczyzna na poziomie nigdy nie powinien zapominać o swoich paznokciach, dobrych butach i perfumach. Na koniec posmarowałem usta pomadką ochronną. Miała słodki, truskawkowy smak.

– Zawsze elegancki – podsumowała Ruda, muskając moje ego.

Wasilewska miała swoje wady, ale nigdy ze mnie nie drwiła ani mnie nie lekceważyła. I za to ją lubiłem. Była jedyną osobą na ten planecie, przy której czułem się naprawdę swobodnie.

Rozłożyłem parasol. Był lekki i łatwy w obsłudze. Kupiłem go tydzień temu w ulubionym sklepie z odzieżą dla eleganckich mężczyzn. Normalnie kosztował czterysta złotych, ale jako stały klient dostałem dwanaście procent zniżki. Maria naciągnęła kaptur na głowę, a następnie stanęła obok mnie, żeby schronić się pod parasolem. Czułem się dziwnie, bo choć znaliśmy się od dawna, to rzadko zbliżaliśmy się do siebie do tego stopnia, że czuliśmy nawzajem swój zapach.

Kiedy ruszyliśmy przed siebie, spojrzałem na moje buty od Armaniego. Naprawdę wyglądały dziwnie na śniegu. Ich naturalnym środowiskiem był asfalt albo chodnik.

– Mówiłam, żebyś wziął jakieś porządne buty – zwróciła uwagę policjantka. – Dorosły facet, a taki durny.